Jednota

1
1965

W NUMERZE M. IN.

DROGA,
PRAWDA,
ŻYCIE

ALBERT SCHWEITZER
WIELKI TEOLOG
I HUMANISTA

POJĘCIE JEDYNEGO
BOGA

Z MYŚLI LEKARZA

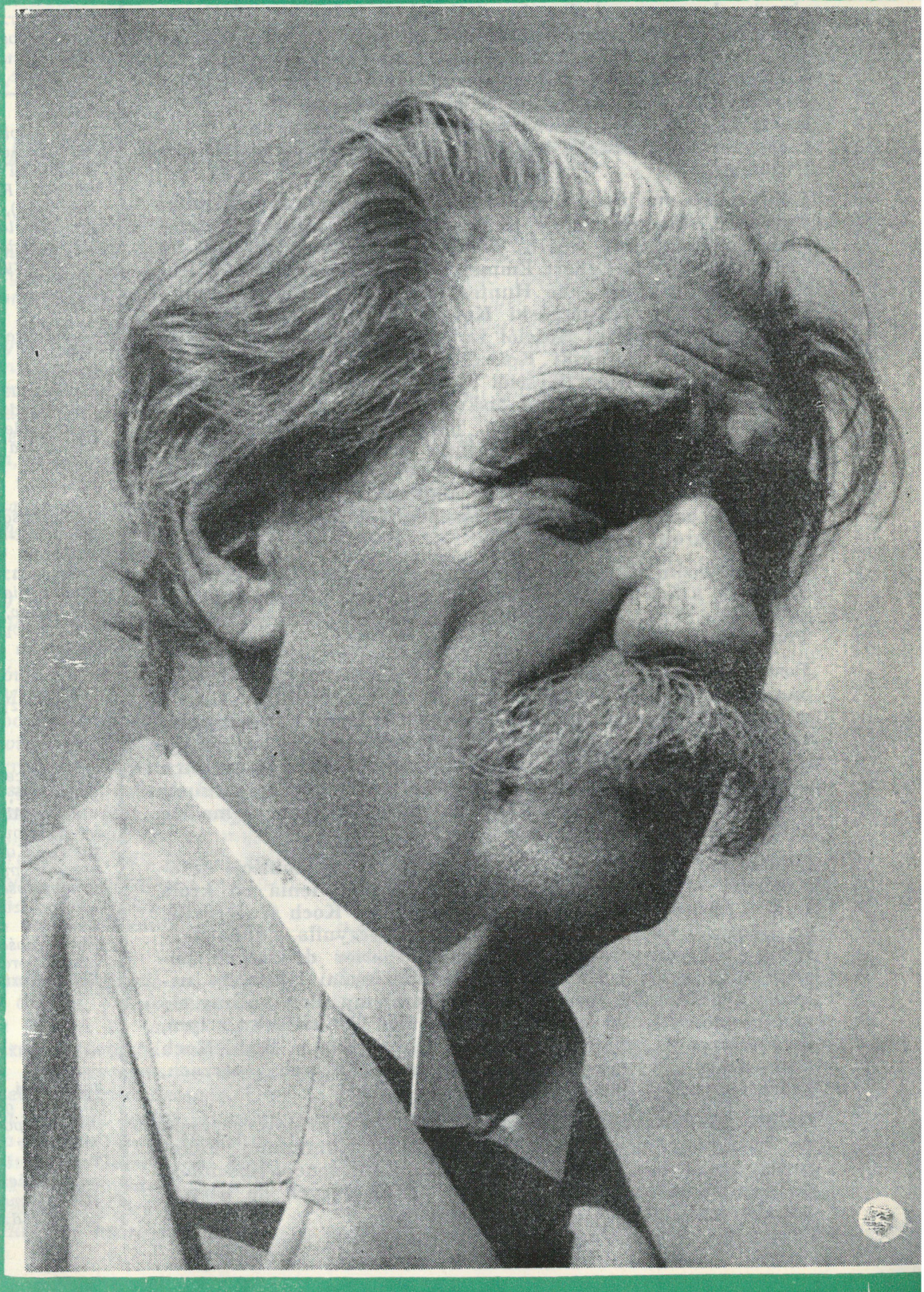

Albert Schweitzer

PISMO RELIGIJNO - SPOŁECZNE

Konferencja na m/s „Bornholm"

Konferencje Kościołów europejskich odbywają się mniej lub więcej regularnie od r. 1957. Jedna z nich miała miejsce w Polsce, kilka w Nyborgu, w Danii. Ostatnia odbyła się na początku października na pokładzie statku „Bornholm".

Pod jednym względem tegoroczna konferencja różniła się znacznie od poprzednich. Dotąd bowiem Konferencja była społecznością Kościołów, które w miarę potrzeby omawiały na niej interesujące je sprawy. Obecnie Konferencja Europejskich Kościołów staje się zorganizowaną instytucją, która „w ścisłej łączności ze Światową Radą Kościołów" będzie się starała pracować dla chrześcijańskiej jedności i służby. Podstawa dogmatyczna Konferencji nie różni się od tej, którą posiada Światowa Rada Kościołów. I tu mówi się o tym, że Konferencja stanowi „ekumeniczną społeczność Kościołów europejskich, które służą Jezusowi Chrystusowi, zgodnie z Pismem św., jako Bogu i Zbawicielowi, pragnąc wykonać to, do czego powołane zostały, ku chwale Boga Ojca i Syna i Ducha Świętego".

Konferencja wybrała 7-osobowe Prezydium oraz Komitet Doradczy, składający się z 18 przedstawicieli różnych Kościołów. Do Prezydium weszli: arcyb. Aleksy (Rosyjski Kościół Prawosławny), dr Egbert Emmen (Reformowany Kościół Holenderski), biskup Leslie Hunter (Kościół Anglikański), metropolita Justyn (Rumuński Kościół Prawosławny), arcyb. Jaan Kiivit (Estoński Kościół Luterański), biskup Hans Lilje (Ewangelicko-Luterański Kościół Krajowy Hannover) i biskup Ferdinand Sigg (Kościół Metodystyczny). Do Komitetu Doradczego wybrany został biskup dr Andrzej Wantuła.
Skład wyznaniowy Prezydium, jak i Komitetu Doradczego, przedstawia się następująco: ośmiu luteran, sześciu prawosławnych, pięciu reformowanych, trzech unijnych, jeden metodysta, jeden baptysta i jeden anglikanin. Jedenastu przedstawicieli pochodzi z państw wschodnioeuropejskich, czternastu z Europy zachodniej.

Na stanowisku sekretarza zatrudniony został dr Glen Garfield Williams, który pozostaje nadal na dotychczasowym stanowisku w Światowej Radzie Kościołów, jako Sekretarz Oddziału Pomocy Międzykościelnej.

Postanowiono utworzyć stałe Centrum Konferencji. Będzie się ono mieściło prawdopodobnie w Austrii, w pobliżu Grazu, w zamku Mühlegg. Lokalizacja tego Centrum byłaby nader szczęśliwą, gdyż neutralność polityczna Austrii gwarantuje nieskrępowany udział w Konferencji delegatów ze wszystkich stron Europy. Uchwalono jednocześnie budżet roczny na sumę 80000 franków szwajcarskich. Następna Konferencja ma się odbyć dopiero w roku 1966.

Duński minister wyznań, p. Bodil Koch, która osobiście uczestniczyła w Konferencji, przekazała pozdrowienia od króla Danii i ministra spraw zagranicznych. Bodil Koch stwierdziła, że Konferencja w wysokim stopniu przyczyniła się do usunięcia politycznych i geograficznych barier dzielących poszczególne kraje i Kościoły. „Jako mężczyźni i kobiety należący do Kościoła, mamy wspólne problemy. Powinniśmy się stać pionierami nowych sił i nowych idei." W związku z tym, że Konferencja odbyła się na pokładzie statku, p. Bodil Koch stwierdziła: „Jesteśmy żeglarzami na otwartych morzach, które wszystkich ludzi łączą."

Około 250 delegatów z różnych Kościołów i krajów przyjęło do wiadomości poselstwo Chrześcijańskiej Konferencji Pokojowej, w której wzywa się Europejską Konferencję Kościołów do popierania wszelkich wysiłków zmierzających do utrwalenia koegzystencji i pokoju światowego.

W kilku WIERSZACH

— Dr Moritz Mitzenheim, biskup Turyngii, obchodził w dniu 18 października 1964 r. pięćdziesięciolecie swojej ordynacji. Po studiach w Lipsku, Heidelberdze, Berlinie i Jenie został ordynowany w rodzinnym miasteczku Hilburghausen w r. 1914. W maju 1945 r. został wybrany przewodniczącym Krajowej Rady Kościoła a następnie w r. 1947 biskupem Turyngii.

*

— W związku z ciężkim wypadkiem samochodowym, jakiemu uległ długoletni przewodniczący Ewangelickiego Kongresu Kościoła (Kirchentagu), dr Reinold von Thadden-Trieglaff (Fulda), papież Paweł VI przesłał mu telegraficznie życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

*

— Punktem kulminacyjnym Nordyckiego Katolickiego Kongresu Kościoła, który odbędzie się w czerwcu 1965 r. w Hamburgu, ma być międzykonfesyjna uroczystość w kościele św. Michała z udziałem kardynała Bea i pastora Hansa Harmsa.

*

— Baptyści zamieszkali w dystrykcie Achu-oku w Kamerunie, otrzymali od miejscowych władz państwowych ustne zezwolenie na wybudowanie kościoła. Gdy kościół był już gotów, oświadczono im, że muszą się wykazać pisemnym zezwoleniem, a tymczasem należy kościół rozebrać. W miejscu rozebranego kościoła baptystów wybudowano kościół rzymskokatolicki.

*

— Tysiące ludzi wzięło udział w pochodzie, który kroczył ulicami miasta Abidjan na Wybrzeżu Kości Słoniowej, z okazji 50-lecia istnienia Kościoła Baptystów. Szczytowym punktem programu była uroczystość wprowadzenia w urząd nowego zwierzchnika Kościoła, ks. Samsona Nandjuï. W uroczystościach kościelnych wziął również udział prezydent Republiki, Felix Hauphourt-Boigny.

*

— W październiku br. w mieście Palomar (Argentyna) protestanci katolicy i Żydzi obchodzili wspólnie (pod gołym niebem) Dzień Matki. Na początku odbyła się msza, następnie rabin czytał wyjątki z Talmudu i Starego Testamentu, a na zakończenie odbyło się nabożeństwo ewnagelickie. W uroczystości wzięło udział ok. 500 osób.

Jednota
MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY
POŚWIĘCONY SPRAWOM EWANGELICYZMU POLSKIEGO I EKUMENII

ROK VIII (XXII) Nr 1
Warszawa Styczeń 1965

Ks. Bogdan TRANDA

Droga, prawda, życie

Jan 14:6

Rozpoczyna się nowy rok kalendarzowy i gdziekolwiek żyją ludzie, tam składają sobie życzenia, w których zawierają swe optymistyczne nadzieje i dobre myśli, kierowane ku bliskim i kochanym, a przez nich i ku sobie samym. Pragniemy dla świata pokoju, dobrobytu, szczęścia, pomyślności, pragniemy tego wszystkiego też dla siebie. Jako chrześcijanie przyłączamy się do tych wszystkich dobrych życzeń i myśli, ale chcemy powiedzieć, że przede wszystkim rozpoczynamy nowy rok w imię Boże. Nie ma to być czcza formułka, tylko wyraz przekonania, że nadzieję co do przyszłości składamy w ręce Boga, z którego, przez którego i ku któremu jest wszystko. W imię Boże, to znaczy tak, jak Chrystus, Syn Boga, który o sobie powiedział, że jest drogą, prawdą i życiem.

Szereg razy Jezus mówił do różnych ludzi, aby za Nim szli, żeby Mu towarzyszyli na Jego drodze. Wezwanie „pójdź za mną" niejednego zobowiązywało, ale wielu uważało, że ma rzeczy ważniejsze do zrobienia, niż posłuchać wezwania... Trudno się temu dziwić, bo droga, którą uosabia Jezus, nie jest zachęcająca. Używając metafory „droga" ma On na myśli sprawy bardzo konkretne. — Ten sposób życia, jaki On sam przyjął od początku i w którym wytrwał do końca. Od braku miejsca w gospodzie do miejsca między dwoma złoczyńcami na Golgocie.

Nasuwa się porównanie z Kazania na Górze o szerokiej bramie i drodze, i o wąskiej bramie i drodze. Jedna z nich to ta, na którą wkracza większość, droga utarta, nie wymagająca wysiłku. Przed wkroczeniem na drugą trzeba pomyśleć, trzeba powziąć decyzję. On sam nie wchodził na nią bez walki, o czym świadczy kuszenie na pustyni, a w decydującym momencie modlitwa w Getsemane. Stała walka, stałe myślenie i pobieranie decyzji są czynnikami nieodzownymi na tej drodze, bo różni się ona od tej utartej, którą my, ludzie, zwykliśmy chodzić. Musimy stale patrzeć na Niego, na Jego postępowanie, na to, w jaki sposób On drogę swego życia realizuje. Dostrzeżemy wtedy jeden z głównych rysów Jego drogi — On dostrzegał wokół siebie ludzi, ich cierpienie, niedolę, problemy. Gdy Jan Chrzciciel miał wątpliwości co do tego, czy jest On oczekiwanym Mesjaszem, wskazał Jezus na nieomylne znaki — ślepi odzyskują wzrok i chromi chodzą, trędowaci zostają oczyszczeni i głusi słyszą, umarli są wskrzeszani, a ubogim Ewangelia jest zwiastowana.

To jest właśnie najwyższa umiejętność życia i dlatego słowo „droga" powinno nasze myśli kierować przede wszystkim na stosunki z ludźmi, które wymagają stałej kontroli, ciągłego wysiłku i odnawiania naszej postawy. Dotykamy tu zagadnienia moralności, ale nie tyle utartych zasad, co postawy dynamicznej, która pozwoli nam na nowo oglądać sprawy, rzeczy i ludzi. Na nowo, to znaczy nie z punktu widzenia osobistej wygody, lub korzyści, lecz dla dobra drugiego człowieka. Chrześcijanin musi być otwarty ku drugiemu człowiekowi tak, jak otwarty był Jezus, który dostrzegał ludzi. Ta brama jest ciasna i droga wąska, ponieważ wymaga zaparcia się siebie, wyrzeczenia się korzyści i wygody, poświęcenia spraw osobistych.

Pytając o prawdę, mimo woli powtarzamy pytanie Piłata: cóż jest prawdą? Jezus odpowiedział milczeniem. A milczenie w pewnych okolicznościach jest też odpowiedzią. Pytał filozof, który chciał znać definicję prawdy i może przeżyć intelektualne zadowolenie. To chyba Jezusa nie interesowało. Nie miał ochoty dostarczać materiału do igraszek intelektualnych, bo zaangażowany był w sprawy bez porównania większej wagi.

On mówi o sobie, że jest prawdą. Dodaje kiedy indziej, że prawda, przez człowieka poznana, wyswobodzi go. Czy mogło Mu chodzić o filozoficzne pojęcie prawdy? Czy nie błądzi-

my, ulegając starej, greckiej filozofii, pragnącej wszystko ująć w ścisłe definicje? Czy nie tu leży jedno z głównych źródeł naszych teologicznych i wyznaniowych sporów?

Aby spróbować zrozumieć prawdę, jaką jest Jezus Chrystus, musimy znowu prześledzić Jego życie, w jaki sposób ta prawda w Nim się przejawia. Wydaje się, że chodzi o szczerą, prostolinijną, nie wykrętną postawę, która w Nim dominowała. Nie cofał się On przed najtrudniejszymi i najcięższymi konsekwencjami. W słowie był prosty, zrozumiały dla słuchających Go ludzi.

Czy te cechy są właściwe również nam, Jego wyznawcom? Dzieje Kościoła zdają się wskazywać na coś przeciwnego. Rzeczą decydującą bywa urojona powaga i dostojeństwo, którymi obłudnie pokrywamy naszą ludzką małość, a napuszone i wzniosłe słowa mają zamazywać wewnętrzną pustkę. Coraz częściej słychać głosy domagające się, by chrześcijanie zdjęli z siebie maskę obłudy, żeby mieli odwagę przyznać się do błędów i skończyli z przewrotnym wybielaniem siebie, żeby nauczyli się mówić prostą, zwyczajną, często bolesną prawdę, żeby nawet najwyższy zwierzchnik Kościoła w imię tej prawdy umiał przyznać się do tego, że postąpił źle, żeby miał odwagę powiedzeć — zgrzeszyłem. To jest prawda, a nie to, że mam gdzieś zmagazynowany jakiś urojony system „prawdy", „depozyt wiary".

Jezus osobą swoją wytycza nam drogę i wskazuje na istotę prawdy, ale do tego się nie ogranicza. Dodaje jeszcze, że jest życiem. W tym trzecim punkcie zbiegają się dwa poprzednie. Pełnię życia zyskuje się na Jego drodze, przyjmując postawę prawdy, którą On uosabia. Całym swym postępowaniem, całym swym nauczaniem wskazuje na pełnię życia, które nie jest już naturalną wegetacją gatunku „homo sapiens", lecz świadomym, duchowo pogłębionym przez myślenie i nieustanny wybór życiem. Możemy przez Chrystusa żyć na codzień. Jego zasady pozwalają nam wybierać kierunek postępowania, kształtować sposób myślenia, stosunek do spraw, rzeczy i ludzi. Przez swoją naukę i przykład Jezus toruje naszą drogę życia.

Na tym jednak sprawa się nie kończy. Gdy Jezus mówi o sobie, że jest życiem, ma na myśli jeszcze coś innego, na co wskazuje Wielka Niedziela. „Ja żyję i wy żyć będziecie" — nie „żyjecie", ale „ŻYĆ BĘDZIECIE". Z jednej strony Jezus pozwala żyć na codzień, dziś, układać stosunki z ludźmi (etyka), z drugiej zaś strony dopiero Ukrzyżowany i Zmartwychwstały Zbawiciel sprawia, że ta droga życia nie jest pozbawiona wszelkiego sensu. Dobrze to rozumiał apostoł Paweł, formułując zdanie: „Jeśli tylko w tym życiu nadzieję mamy w Chrystusie, ze wszystkich ludzi jesteśmy najnieszczęśliwsi".

No bo na cóż ja mam czekać? Dlaczego mam się męczyć i czegokolwiek wyrzekać? Czy nie lepiej zrobić wszystko, aby jak najwięcej wokół siebie zgromadzić i ułatwić sobie życie? Dlaczego mam wybierać drogę cierniową? Dlaczego mam wybierać tę wąską drogę, po cóż się wysilać i ryzykować? Tylu ludzi szło przede mną drogą utartą, więc i ja mogę nią pójść!

Cały bezsens takiego myślenia ujawnia się dopiero w obliczu innej rzeczywistości, w obliczu życia, które mamy w Chrystusie Zmartwychwstałym.

Panie, Boże nasz! Lata nasze płyną i mijają, my żyjemy i umieramy, ale Ty jesteś niezmienny. Panowanie Twoje i wierność Twoja nie mają początku ani końca, tak jak Twa sprawiedliwość i miłosierdzie. Ty też jesteś początkiem i celem naszego życia; sędzią wszystkich naszych myśli, słów i czynów.

Z żalem i dzisiaj wyznajemy przed Tobą to jedno, że ciągle i często — aż do tej chwili — zapominaliśmy o Tobie, zapieraliśmy się Ciebie i obrażaliśmy Cię. Ale dzisiaj również nas oświeca i pociesza Twoje Słowo, przez które dajesz nam poznać, że jesteś naszym Ojcem, a my Twymi dziećmi, i to jedynie dla Jezusa Chrystusa, Twojego umiłowanego Syna, który dla nas stał się człowiekiem, umarł, zmartwychwstał i jest naszym Bratem.

Dziękujemy Ci, że jeszcze raz, w ostatnią niedzielę tego roku, możemy zwiastować i słuchać tego radosnego poselstwa. Uczyń nas wolnymi, abyśmy mogli prawdziwie przyjmować Słowo, aby ta chwila mogła służyć Twojej chwale, a nam wszystkim dać pokój i zbawienie. Amen.

Karol Barth

Prof. dr Karol WOLFRAM

ALBERT SCHWEITZER
wielki teolog i humanista

I

W dniu 14 stycznia bieżącego roku przypada 90 rocznica urodzin Alberta Schweitzera, w jednej osobie teologa, filozofa, teoretyka kultury, muzyka, lekarza i społecznika, we wszystkich wymienionych dziedzinach wiedzy znakomitego uczonego, opatrznościowego męża Bożego na eksponowanym stanowisku dobroczynnej działalności i wiernej służby bliźnim w duchu wiary i miłości Chrystusowej. Już chociażby z tej racji, z racji rozpoczęcia ostatniej dekady stulecia, mówiąc w przenośni, dziesiątego krzyżyka, w którym go miliony ludzi ze wszystkich kontynentów świata z pewnością pozdrowią i złożą życzenia dożycia sędziwych, patriarchalnych lat starości, co najmniej naszych polskich biesiadowo-pieśniarskich stu lat, z tej chociażby racji warto i należy wspomnieć tego wielkiego chrześcijanina, jak go nazwało jedno z katolickich czasopism polskich, tego największego człowieka świata, za jakiego ogłosili go Amerykanie, wspomnieć go wśród nas, polskich ewangelików, jako że Albert Schweitzer, urodzony z ojca pastora i z matki — córki pastorskiej, oddychał w domu rodzinnym, w szkole podstawowej i średniej atmosferą ewangelickiej religijności i biblijnej pobożności. Podczas studiów w szkole wyższej czuł się związany z Kościołem, jego praktyką oraz życiem, a w późniejszej działalności, w dążeniach i wysiłkach, w pracy i służbie pozostał wierny uczelni uniwersyteckiej, zwłaszcza jej składowej, integralnej cząstce, jaką stanowił wydział teologiczny, z którego wyszedł, dla którego czuł dozgonną wdzięczność i któremu poświęcił niemało cennego czasu i młodzieńcze siły.

Kim jest Albert Schweitzer? Co to za człowiek? Jaką ma pozycję w świecie? Jaki jest dorobek jego życia? Jaką ma wartość i znaczenie dla wizualnego świata i współczesnego człowieka?

II

Opinia ludzi, którzy się z Albertem Schweitzerem zetknęli i zapoznali, nie jest jednolita. Jedni uważają go za nieprzeciętnego teologa, filozofa, myśliciela, którego zasługi w dziedzinie teorii kultury przytłaczają ogromem talentu, precyzją, ważnością i doniosłością, ponadto uznają go za wielkiego filantropa, za prawdziwego dobroczyńcę ludzkości, zwłaszcza na odcinku lekarsko-charytatywnej działalności. Inni natomiast widzą w nim człowieka nienormalnego, o rozwichrzonej głowie, ekscentryka, dziwaka, oryginała, a może nawet pomyleńca, zwłaszcza na punkcie sprawy murzyńskiej, bo nie mogą pojąć i nie są w stanie wytłumaczyć sobie niespotykanego w normalnym życiu faktu, że słynny muzyk i wybitny naukowiec, który ma za sobą olbrzymie osiągnięcia i ogromne sukcesy, a przed sobą fenomenalną karierę życiową, nagle i niespodziewanie rezygnuje z wszelkiej pomyślności osobistej, porzuca świetne pozycje w kraju i za granicą, podejmuje 5 letnie studia medyczne, a po ich ukończeniu, w roku 1911, udaje się jako lekarz do dzikich Murzynów, do Lambarene, francuskiej Afryki podzwrotnikowej z jej zabójczym klimatem, z jej duszącym żarem i wieczornymi burzami. Dwie opinie o tym samym człowieku: jedna pochlebna, entuzjastyczna, druga krytyczna, podejrzliwa. Oczywista, że my, chrześcijanie, podtrzymujemy niejako automatycznie opinię pierwszą, w pełni zasłużoną i potwierdzoną ofiarną, 60 letnią pracą na kontynencie afrykańskim. Jeśli w swoim czasie — przed I wojną światową, kiedy Schweitzer zdradzał swoje zamiary i w r. 1906 podejmował studia medyczne — można było mieć wątpliwości i podawać w podejrzenie jego poczytalność i równowagę psychiczną, co też znalazło swój wyraz między innymi w tym, że na wydziale medycznym Uniwersytetu Strassburskiego, kiedy się zgłaszał na studia, sugerowano mu specjalizację przy katedrze psychiatrii, o tyle dzisiaj, po kilkudziesięciu latach intensywnej, zbożnej i ofiarnej pracy wśród Murzynów w Afryce, Albert Schweitzer znalazł całkowite zrozumienie i zyskał pełne uznanie w całym świecie kulturalnym, a opinia o jego osobie, dorobku i dziele nie podlega już żadnym wątpliwościom, zastrzeżeniom, czy podejrzeniom.

W rzeczy samej, Albert Schweitzer, licząc lat 30, mógł uważać się za jednego z najszczęśliwszych ludzi w świecie. Dzieciństwo i młode lata miał beztroskie, pogodne, nawet radosne, a przyszłość zapowiadała się niemniej pomyślnie. Miał już za sobą trzy doktoraty: z filozofii, teologii i teorii muzyki. Ponadto mógł się pochwalić jako pisarz autorstwem kilku monumentalnych dzieł z zakresu teologii i muzykologii. Mógł też wskazać z dumą na swój podręcznik o budowie organów, świadczący o specjalistycznych umiejętnościach konstruk-

Przy budowie nowej chaty

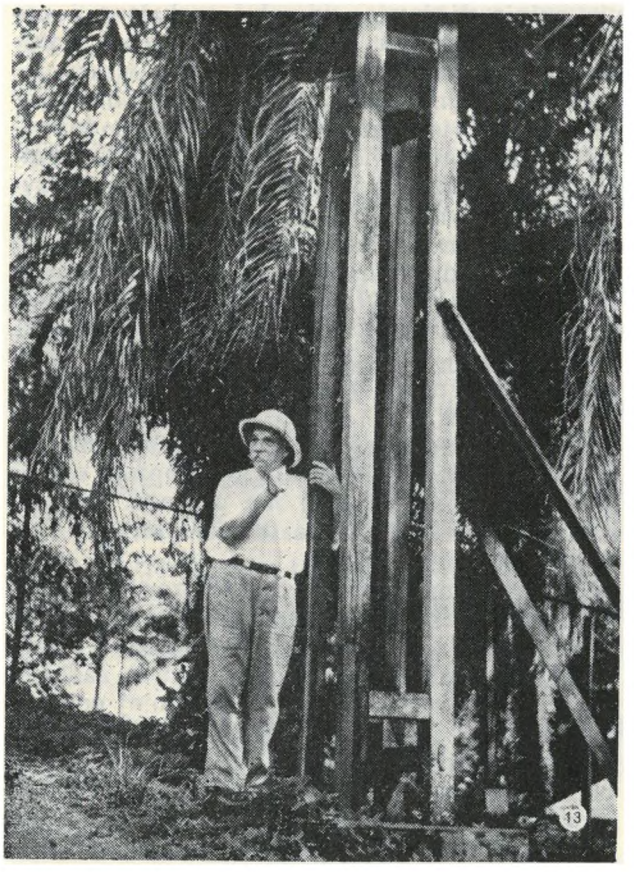

Dzwon wzywa na nabożeństwo, które odbywa się w Lambarene każdej niedzieli

cyjnych w tej dziedzinie. Dzieła z zakresu teologii nowotestamentowej wyróżniały się śmiałością oryginalnych koncepcji, dzieła z teorii muzyki obejmowały wielką monografię o Janie Sebastianie Bachu i wprowadzały w świat tonów i symbolów genialnego organisty lipskiego. O dziwo, ten człowiek, znajdujący się na równej drodze do szczytów szczęśliwości osobistej, odczuł groźny niepokój w duszy i począł stawiać sobie pytania: czy mam prawo do tego szczęścia i czy wolno mi z niego korzystać? Czy mogę uważać aktualną szczęśliwość za coś zupełnie naturalnego i czy mogę się nią zadowolić? Czy zasłużyłem sobie na ten pomyślny stan i na tę ponętną pozycję? W wyniku stawianych pytań i stoczonej walki wewnętrznej uświadomił sobie, jako mąż szczerej wiary, jako prawdziwy chrześcijanin, że z dotychczasowej drogi musi zawrócić, i że winien wkroczyć na drogę inną, wskazaną przez Chrystusa, ponadto zrozumiał właściwy sens orzeczenia Jezusa, że życie nasze nie należy wyłącznie do nas, że kto je postanowi zachować tylko dla siebie, ten je straci, a kto je poświęci innym, ten je pozyska. Sparafrazował przytoczone w poprzednim zdaniu słowa Jezusa o tyle, iż je uzupełnił dodatkową myślą, zrodzona na gruncie wiary i doświadczenia życiowego: ten, kto wiele otrzymał, wiele dać musi, ten, komu życie zaoszczędziło bólów i cierpień, winien poczuwać się do obowiązku łagodzenia ich i pomniejszania w życiu innych ludzi. Każdy człowiek winien w miarę swych możliwości wziąć na własne barki chociażby minimalną część brzemienia cierpień i niedoli ludzkiej, które zaciążyły nad ziemią i przytłoczyły ludzkość.
Niepokój, jaki powstał w duszy Schweitzera, nie przestawał go trawić, a myśl, która zakiełkowała w jego głowie, nie dała się już odwrócić dopóty, dopóki w sercu Schweitzera nie zapadło nieodwołalne postanowienie: muszę poświęcić siebie, swoją osobę, swoje zdrowie i siły, swoje umiejętności i zdolności tym opuszczonym, najuboższym, najnieszczęśliwszym, najbardziej prymitywnym dzieciom przyrody, zamieszkującym kontynent afrykański, i w ten sposób muszę dokonać choćby w drobnym, mikroskopijnym rozmiarze ekspiacji na liczne i dotkliwe krzywdy, wyrządzone Murzynom przez narody europejskie.

III

Już u dziesięcioletniego chłopca wywołał skurcz serca widok Murzyna w odlewie na pomniku, Murzyna, skutego łańcuchami, leżącego u stóp dumnego i butnego admirała angielskiego. W późniejszym wieku, po zapoznaniu się z historią misji, uprawianej przez narody chrześcijańskie, znakomity uczony zwrócił uwagę całego kulturalnego świata na złą wolę, przewrotność i fałsz w działalności Europejczyków, objął je surowym osądem, zakwalifikował ujemnie i stwierdził, że na Europie ciąży wielka odpowiedzialność za misję, jaką pełniła w Afryce. „W krajach kolonialnych —

pisał — sytuacja jest rozpaczliwa. My, narody chrześcijańskie, wysyłamy tam same szumowiny. Myślimy tylko o tym, by jak najwięcej wycisnąć z krajowców, z tubylców... Gdyby w jednej książce spisać wszystko to, co zaszło między ludźmi białymi a kolorowymi w czasach dawniejszych i nowszych, jej treść byłaby przerażająca; trudno byłoby tę ogromną księgę przeczytać do końca. Jeżeli bodaj częściowo mamy odpokutować za te winy, powinniśmy wysyłać tam ludzi, którzy w imię Chrystusa będą spełniać dobre uczynki, wysyłać tam nie tylko misjonarzy, którzy będą nawracać, lecz ludzi, którzy biedakom przyjdą z pomocą i to z pomocą czynną, wydatną, tak by usprawiedliwić Kazanie na Górze oraz słowa Pana i Zbawcy naszego, Jezusa Chrystusa".

„Siedzimy tutaj, studiujemy teologię, kłócimy się o najlepsze parafie, piszemy grube tomy rozpraw, by zostać profesorami teologii ... a to, co się dzieje gdzie indziej, tam gdzie toczy się walka o imię Chrystusowe i o Jego cześć i chwałę — nic nas nie obchodzi. Miałbym więc przez całe swoje życie robić tylko „krytyczne odkrycia", by stać się w końcu słynnym teologiem?... Tego nie mogę. Długo nad tym rozmyślałem. Wreszcie uprzytomniłem sobie jasno, że celem mojego życia jest nie sztuka, nie nauka, lecz to, by zostać po prostu człowiekiem i robić gdzieś coś małego w duchu Chrystusa... „Coś bratu memu uczynił, to mnieś uczynił". Uważam, że chodzi tu o „być albo nie

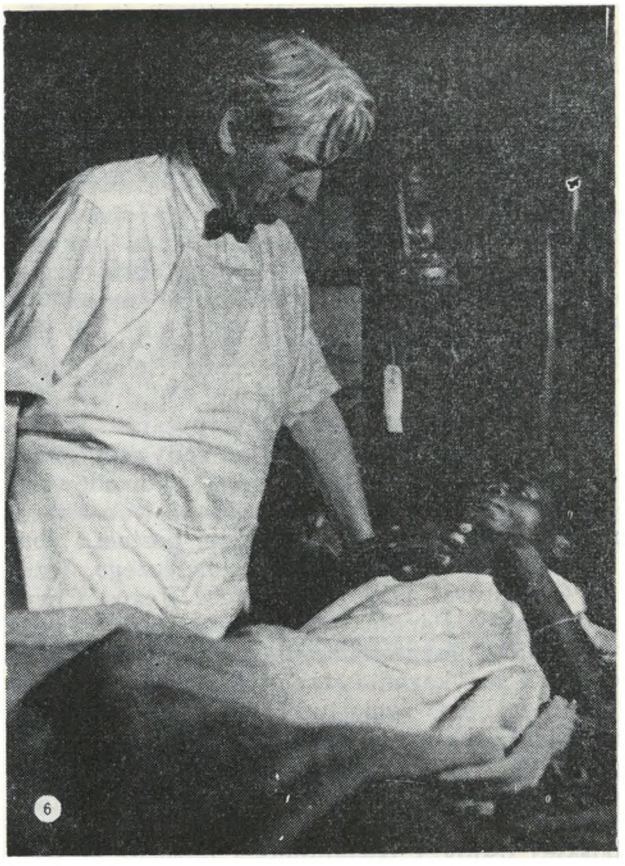

...jedni uważają go za prawdziwego dobroczyńcę ludzkości, zwłaszcza na odcinku lekarsko-charytatywnej działalności...

...inni nie mogą pojąć, że słynny muzyk i wybitny naukowiec nagle i niespodziewanie rezygnuje z wszelkiej pomyślności osobistej...

być" religii. Dla mnie religia to „być człowiekiem", krótko mówiąc: być człowiekiem tak jak to Jezus rozumiał; po prostu — być uczniem Chrystusowym i czynić to, co Jezus nakazał". Co spowodowało taką radykalną metamorfozę duchową u Alberta Schweitzera? Co sprawiło, że ten człowiek wyrzekł się światowej kariery i postanowił poświęcić się całkowicie i bez reszty służbie najbiedniejszym i najnieszczęśliwym ze świata ludzkiego, bez względu na ich rasę, narodowość czy wyznanie?

Myślę, że żaden człowiek, zorientowany w walce duchowej i w drogach życia Schweitzera, nie będzie miał najmniejszych wątpliwości co do odpowiedzi na postawione pytanie. Będzie zmuszony odpowiedzieć, że ten radykalny przełom w duszy Schweitzera został spowodowany jego szczerą religijnością, która tkwiła korzeniami w Ewangelii o niebieskiej postaci i zbawczym posłannictwie Syna człowieczego, Jezusa Chrystusa. Dla Schweitzera Jezus Chrystus był Panem i Zbawcą, był najwyższym autorytetem religijnym, a Jego orzeczenie i przykazanie stanowiło normę i regulatyw moralnego życia ludzkiego. Schweitzer nie nawiązał do trynitarnych teorii chrystologicznych i soteriologicznych starożytności, nie definiował w kategoriach filozoficzno-teologicznych osoby i dzieła Jezusa; tajemnicę Jego boskiej osoby i posłannictwa określił w prostych i dla wszystkich ludzi zrozumiałych słowach, którymi kończy się jego kapitalne dzieło, dotyczące biografii Jezusa, pt. „Leben Jezu — Forschung". Ze względu na wielkie znaczenie tych słów pozwolę sobie zacytować je w kilku krótkich zdaniach: „Jako nieznany i bezimienny przychodzi do nas Jezus, jak ongiś na przełomie eonów zbliżał się nad brzegiem jeziora Genezareckiego do tych mężów, którzy Go nie znali i nie wiedzieli, kim On był. A zbliżając się do nas, wypowiada dzisiaj to samo słowo, co ongiś: pójdź za mną... pójdźcie za mną... i stawia nam zadania, z których współcześnie winniśmy się wywiązać. Jezus nakazuje. A wszystkim, którzy Jego nakazu usłuchają i pójdą za Nim, mędrcom i prostaczkom, ujawni się w tym, co będą musieli, dochowując Mu wierności, wycierpieć i przeżyć, objawi się w tym, czego w społeczności z Nim doświadczą i doznają, otrzymując dzięki Niemu i za Jego pośrednictwem błogi pokój, moc do działania, cierpliwość i wytrwałość w walce i w cierpieniu, a ponadto odczują jako niewysłowioną tajemnicę, kim On jest..."

IV

Chrześcijaństwo jest — w myśl teologii Alberta Schweitzera — ześrodkowane na boskiej, ciągle żywej i ustawicznie aktywnej postaci Jezusa. Chrystusa, Zbawiciela oraz Pana, i jest raczej drogą życia, niż naukowo-spekulatywnym poglądem na istniejącą w świecie rzeczywistość życiową, jest w pierwszym rzędzie religią i praktyką, a dopiero w następnym, drugim, czy nawet trzecim rzędzie może być uważane za filozofię, bądź teorię. Naturalna rzecz, że w związku z taką diagnozą i kwalifikacją dzieła stworzenia, dzieła wcielenia i dzieła odkupienia każdy wierzący chrześcijanin powinien swój światopogląd, swoją filozofię i postawę oprzeć na woli życia, tej woli, która rodzi się i czerpie siły z tkwiącego w człowieku instynktownego szacunku dla życia, tej woli, która stanowi motoryczną siłę naszej egzystencji i statyki życiowej, naszej działalności i postępowania, tej woli, która zawiera w sobie afirmację świata oraz życia, postuluje etykę i dynamizuje porządek moralny, inspiruje i mobilizuje szczerą religijność i stanowi właściwe kryterium zdrowego życia religijnego. Ja pragnę żyć — rozumuje i odczuwa Schweitzer — pragnie też żyć wszystko, co istnieje dookoła mnie; wszędzie tkwi tęsknota za dalszym życiem, za jego przedłużeniem, za jego kontynuacją oraz lęk przed zniszczeniem i „tajemniczym uszkodzeniem woli życia", które łączy się z niedolą, męką, bólem, cierpieniem, a ból jest gorszym panem, aniżeli śmierć; winienem przeto odnieść się do wszelkiej woli życia człowieka, żyjątka, czy rośliny z takim samym szacunkiem, jak dla mego własnego. „Dobre jest to, co życie zachowuje, co życie wzmaga i potęguje, co życiu nadaje najgłębszy sens i największą wartość; złe jest to, co życie niszczy, co życie ogranicza i zwęża, co życie, które może się rozrosnąć, hamuje i dusi". „Etyka — to bezgranicznie rozszerzona odpowiedzialność wobec wszystkiego, co żyje". „Dobrym człowiekiem jest tylko taki człowiek, który z nieodpartej potrzeby wszelkiemu życiu służy pomocą i lęka się wyrządzić jakąkolwiek szkodę wszelkiemu stworzeniu żyjącemu. Nie pyta on, w jakiej mierze to lub tamto życie jako wartościowe zasługuje na współczucie i czy jest ono w ogóle zdolne do odczuwania. Życie, jako takie jest święte. Nie zrywa on żadnego liścia z drzewa, nie niszczy żadnego kwiatu i uważa, by nie zdeptać żadnego owada. Gdy latem pracuje przy lampie, woli mieć raczej okna zasłonięte i wdychać duszne powietrze, aniżeli widzieć, jak owady jeden po drugim spadają na jego stół z przypalonymi skrzydłami..."

Schweitzer zabierał też głos w kwestii „tajemniczej, niepojętej i ciążącej na człowieku konieczności zabijania w obronie własnej i po to, żeby samemu utrzymać się przy życiu. Zabijać jednak możemy tylko wtedy, kiedy to konieczne, ale i wówczas nie wolno nam zabijać bezmyślnie. Chyląc czoła przed tajemniczą mocą musimy każdą śmierć zadaną nawet najmniejszej istocie, świadomie poczytywać sobie za winę".

To jest — według Schweitzera — najwyższa etyka, tkwiąca korzeniami w gruncie głębokiej religijności i żarliwej pobożności, zasilona ideą szacunku dla życia, etyka, zmierzająca do rozwinięcia wszystkich swych zdolności i do osiągnięcia szczytów materialnej i duchowej wolności, etyka, która odnosi się z powagą do życia nie tylko własnego, ale i cudzego i żywiąc

cześć dla niego, rozwija kulturę wewnętrzną i uszlachetnia osobowość ludzką, etyka, która kulturę rozciąga i dobrodziejstwa jej przyswaja zarówno jednostkom, jak masom i w konsekwencji sprawia, że człowiek odradza się wewnętrznie i osiąga prawdziwe człowieczeństwo, a ludzkość ma w perspektywie zharmonizowaną koegzystencję, zgodną współpracę i stosunki współżycia w przyjaźni, pokoju, pojednawczości i ustępliwości.

Pod koniec, na myśl o aktualnej, ciągle cierpkiej i smutnej rzeczywistości życiowej, pozwolę sobie jeszcze zacytować kilka zdań z książki Alberta Schweitzera, zatytułowanej „Wspomnienia z mojego dzieciństwa": „W naszych czasach — pisze — nie tracę mimo wszystko wiary, że prawda, miłość, duch pokoju, łagodność i dobroć okażą się wreszcie silniejsze od przemocy, od gwałtu. Do nich należeć będzie świat, żeby tylko wystarczająca ilość ludzi zachowała w duszy i realizowała w życiu dzieła miłosierdzia, prawdy i pokoju. Każdy gwałt ma granice w samym sobie, bo rodzi przeciw sobie analogiczną reakcję, która wcześniej, czy później dorówna mu, albo i przemoże. Tymczasem dobroć działa po prostu i ciągle. Nie wywołuje paraliżującego oporu. Wszystkie ziarna dobra, jakie człowiek sieje po świecie, wzejdą kiedyś w sercach i myślach drugich ludzi. Jakaż głębia mieści się w paradoksalnej sentencji Jezusa: „Błogosławieni cisi, albowiem oni posiądą ziemię".

---

dr Gabriela PIANKO

Pojęcie jedynego Boga w religii greckiej (II)

Możemy niewątpliwie uważać za monoteistę również Heraklita z Efezu, słynnego „ciemnego" filozofa.[1]) Niektórzy twierdzili nawet, że był on uczniem Ksenofanesa, co zresztą nie było możliwe, gdyż Ksenofanes opuścił Jonię przed przyjściem na świat Heraklita. Znał on jednak z pewnością poemat Ksenofanesa i podzielał jego zapatrywania w sprawie religii ludowej. W swym rodzinnym Efezie, gdzie wpływy kultów wschodnich były dość silne, widział wyuzdane misteria, odprawiane przez wtajemniczonych, magów, bakchantów, menady, i nabrał obrzydzenia do tego rodzaju obrzędów religijnych. W zachowanych fragmentach znajdujemy ostrą krytykę wielobóstwa, dawnych, pozostałych po barbarzyńskich, zamierzchłych czasach zwyczajów, jak np. by krwawą kąpielą oczyścić się od grzechu przelanej krwi. W upojeniu dionizyjskim nie widział on nic wzniosłego: człowiek pijany, mówi w jednym z zachowanych fragmentów, nie wie, dokąd idzie, nie umie ukryć swego szaleństwa: dusza pijana jest na drodze ku śmierci.

Heraklit gardził nie tylko mądrością ludową, ale i opinią innych filozofów, gardził też wiedzą książkową, polegał zaś tylko na własnej intuicji. Wiedzę swą wykładał językiem wzniosłym, zawiłym, tonem proroka, co mu zjednało nazwę „ciemnego". Ciągła zmiana — mówi Heraklit — jest prawem życia, a wojna jest ojcem wszystkich rzeczy. Lecz świat ciągłych zmian i ustawicznych konfliktów nie jest dla niego państwem chaosu. Jest on kierowany przez immanentną zasadę porządku i miary. Zasadę tę nazywa on Logos. Heraklit odkrył harmonię sił przeciwstawnych, która jest prawdziwą sprawiedliwością. Logos to właśnie owa wewnętrzna, głęboka jedność, kryjąca się w przeciwieństwach i sprzecznościach. Sprzeczności stanowią różne postacie tej samej rzeczywistości, która jest jedna w swej wielości. Logos Heraklita, to powszechna proporcja, zasada czy prawo miary i porządku, która powoduje harmonię przeciwieństw. Logos to wiecznie żywa i wszystkim kierująca Inteligencja, którą filozof utożsamia jednocześnie z wiecznie żywym Ogniem, uważanym przez siebie za zasadę Wszechświata. Ta najwyższa mądrość jest też obecna i w nas ucząc, że Logos jest także sprawiedliwością, Dike, która przenika wszystko, która będzie sądziła złych i każe swoim sługom, Eryniom, czuwać nawet nad słońcem, aby nie przekroczyło zakreślonej mu miary i granic. Ta najwyższa mądrość może nawet, jeśli chce, nosić imię Zeusa — nie nazwa jest tu ważna. Widzimy więc, że Heraklit posługuje się nawet czasem i imionami mitologicznymi — Zeus, Erynie — ale za tymi imionami kryje się całkiem inna treść: Logos, najwyższa mądrość i najwyższa sprawiedliwość, jedność wielorakiej rzeczywistości i jednocześnie głęboka intuicja tkwiąca w człowieku. Jak widzimy, Heraklit wyraża się w sposób zawiły, mimo to nie pozostawia nam wątpliwości co do swych poglądów na to, kto kieruje światem: rozpustni bogowie Olimpu czy jedna, najwyższa mądrość i sprawiedliwość.

O cały niemal wiek później od Ksenofanesa żył i nauczał inny Jończyk — Anaksagoras z miasta Klazomeny, osiadły później w Atenach.[2]) Nauczał on, że materia jest z natury swej nieruchoma, ponieważ zaś jest w nieustannym ruchu, mogła go osią-

---

[1]) John Burnet: Early Greek Philosophy. London 1948, str. 130—168. A.H. Armstrong: An Introduction to Ancient Philosophy. London 1949, str. 9—11.
Pierre-Maxime Schuhl: Essai sur la formation de la pensée grecque. Paris 1949, str. 278—284.

[2]) Władysław Tatarkiewicz: Historia filozofii. Tom I, Warszawa 1946, str. 45—48.

gnąć tylko z zewnątrz. Wyobrażał on sobie, że jakiś impuls spowodował wir materii, wir ten rozszerzając się pociągnął mechanicznie całą materię. Ale skąd się wziął ów pierwszy impuls? Na to Anaksagoras dał swą słynną odpowiedź: uczynił to d u c h, N o u s. Odrzucał on myśl, aby początek zdarzeń mógł być dziełem przypadku lub niepojętej konieczności: przeciw temu przemawiał ład panujący w przyrodzie i jej rozumny ustrój. Rozumny impuls — mniemał Anaksagoras — mogła dać jedynie siła nie mechaniczna lecz duchowa. Ten właśnie wzgląd kazał mu przyjąć, iż ruch świata jest dziełem ducha. Pierwszy z filozofów, sądził on, iż duch jest poza przyrodą i ponad przyrodą, boć przecież musi być poza przyrodą,aby przyrodę poruszyć. Była to oryginalna koncepcja Anaksagorasa, gdyż nikt przed nim nie wytworzył pojęcia bytu istniejącego poza światem: przecież i bogowie Greków byli także mieszkańcami świata i stanowili część przyrody, a ludowa religia grecka była wybitnie religią natury.

Koncepcji swej Anaksagoras nie rozwinął dalej, co mu nawet później zarzucali Platon i Arystoteles. Ograniczył on akcję ducha do poruszenia świata, do dania mu owego pierwszego impulsu: odkąd zaś świat został poruszony, duch przestał działać.

W pojęciu tego ducha połączył on własności duchowe z własnościami sił bezosobowych. Nie stworzył więc Anaksagoras ani monoteistycznej teologii, ani teologicznego obrazu rzeczywistości; jednak swym pojęciem nadziemskiego ducha przygotował pojęcia późniejszych teleologów i teologów.

Na swój sposób monoteistą był S o k r a t e s urodzony w Atenach w roku 469 i tu zmarły w r. 399 po zażyciu trucizny z wyroku sądu przysięgłych w r. 399. Był on oskarżony o bezbożność, o nieposzanowanie bogów ojczystych i o wprowadzenie nowych bogów. Oskarżenie nie było słuszne: choć Sokrates nie wierzył bynajmniej w mitologiczne opowiadania o niezgodnych, niesprawiedliwych i niemoralnych bogach, uważał jednak, że należy przestrzegać ojczystych obyczajów i uczestniczyć w świętach religii obywatelskiej. Owe nowe bóstwa wprowadzone przez Sokratesa do Aten, o których była mowa w oskarżeniu, to owo tajemnicze d a i m o n i o n, ów głos, który go ostrzegał przed popełnieniem złego czy niewłaściwego postępku. Była to pomoc — tak wierzył Sokrates — jaką bóstwo zsyła ludziom, gdy nie wiedzą, jak należy postąpić, i powstrzymuje ich od popełnienia grzechu czy zbrodni, to głos sumienia, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli. Ale, odrzucając bogów mitologii i zachowując uczestniczenie w świętach obywatelskich jedynie przez szacunek dla ustaw i tradycji ojczystych, Sokrates wierzył, że owo bóstwo, kierujące człowiekiem przy podejmowaniu ważnych decyzji, jest jedno, potężne, dobre i etyczne. Z tego też względu Sokrates zasługuje na to, aby go wymienić w jednym szeregu z innymi filozofami — monoteistami.

P l a t o n, najznakomitszy uczeń Sokratesa, urodzony w r. 427 w Atenach, a zmarły w r. 347, zastanawiając się nad ustrojem i budową świata, doszedł do wniosku, że zasadą jego budowy jest harmonia, a rządzi wszechświatem rozum i ład.[3]) Celowość i rozumny ustrój świata kazały mu, jak sam pisał, wierzyć w istnienie bóstwa, które rozumnie świat zbudowało. W dialogu pt. „Timaios" Platon wyłożył cel świata i jego urzeczywistnienie. „Demiurg", czyli boski budowniczy, boski stwórca świata zbudował go powodowany dobrocią: doskonałość świata była mu celem, i dlatego uczynił go możliwie najlepszym. Stwórca uczynił świat żywym, uduchowionym i rozumnym, jedynym i jednolitym, i części jego zespolił tak ściśle, jak w żywym organizmie. Dał mu kształt najdoskonalszy ze wszystkich — kształt kulisty, dał mu też ruch najdoskonalszy — ruch okrężny. W całości świat jest widzialną, żywą istotą, obrazem twórcy, postrzegalnym bogiem; jest on największy i najlepszy, najpiękniejszy i najdoskonalszy. Co zaś jest w świecie mniej doskonałe — nauczał dalej Platon — jest już wynikiem późniejszego pogorszenia świata. Świat bowiem nie postępuje, lecz cofa się, a doskonałość nie jest wynikiem rozwoju, lecz jego początkiem.

Widzimy więc jednocześnie, jakie są atrybuty boga Platona: jeżeli świat będąc obrazem Demiurga (stwórcy) jest jedyny, najlepszy i najpiękniejszy, to oczywiście, sam stwórca też jest jedyny, największy, najpotężniejszy, najdoskonalszy i najlepszy. Mamy tu więc — po bezosobowych bogach Ksenofanesa i Anaksagorasa — wyraźną cechę — dobroć jedynego boga. Stąd niektórzy teolodzy dzisiejsi mówią nawet o chrystianizmie Platona. Dla uniknięcia nieporozumień trzeba zaznaczyć, że doktryna Platona nie jest tak jednolita i wyraźna, jak tu została w krótkości wyłożona, powstawała ona stopniowo, i że czytając różne jego dialogi, zwłaszcza wcześniejsze, możemy znaleźć wiele twierdzeń, które zdawałyby się przeczyć streszczonej powyżej teologii, lecz wyłożona ona została, jak wyżej była mowa, w dialogu Timaios, który należy do ostatniego okresu twórczości Platona. Można więc słusznie wnioskować, że była ona wyrazem jego poglądów w najbardziej dojrzałym okresie życia wielkiego mędrca. Niewątpliwie, należy stwierdzić, że wyobrażenie o Demiurgu świata, nawet obdarzonym cechą dobroci, odbiega daleko od pojęcia Boga chrześcijańskiego. Ale nie da się zaprzeczyć, że przygotowało ono greckie umysły do przyjęcia nauki Ewangelii.

Monoteistą był również A r y s t o t e l e s ze Stagiry, urodzony w r. 384 i zmarły w r.

---

[3]) Tatarkiewicz, o.c., str. 113.

322. Był on uczniem Platona, lecz później ostro krytykował jego nauki. W dziejach teologii greckiej — mówi Władysław Tatarkiewicz — poglądy Arystotelesa były ważnym etapem: monoteizm, który od Ksenofanesa nurtował filozofię grecką, u niego znalazł pełny wyraz. Nowa była koncepcja Boga, jako istoty czysto duchowej. Arystoteles wyszedł tu poniekąd z pojęcia Ducha Anaksagorasa i z idei Dobra Platona, lecz rolę Boga wobec świata pojął inaczej niż Platon: Bóg nie był dlań demiurgiem, stwórcą, wykonawcą świata, świat bowiem w ogóle nie był wykonany, świat jest wieczny. Bóg wprawił świat w ruch i w tym sensie jest jego pierwszą przyczyną, a także jest jego celem ostatecznym, ale twórcą jego nie jest. Przypomina więc to do pewnego stopnia koncepcję Anaksagorasa. Arystoteles sądzi, że ów wieczny, nieustannie czynny, niezmienny, niematerialny czynnik, owa najwyższa Myśl czy Duch (która jest „myślą myśli"), jest zajęty nieustannie myślą o własnej myśli, że jedynym przedmiotem tej doskonałej myśli może być ona sama. Boska ta Myśl nie ma więc świadomości o niczym innym poza sobą. W jaki więc sposób ów Najwyższy Duch, Owa Myśl mogła wprowadzić w ruch wszechświat? Otóż wszechświat dąży do osiągnięcia doskonałości Najwyższego Ducha, a w tym dążeniu, w tęsknocie do osiągnięcia tej doskonałości wprowadza się w najdoskonalszy ruch ze wszystkich, tzn. w ruch obrotowy. Tak więc, według doktryny Arystotelesa, zasadą wszelkiej działalności, wszelkiej czynności w całym wszechświecie jest wyraz dążenia do osiągnięcia doskonałości boga.[4])

Uczeń Arystotelesa, Eudemos z Rodos, przyjął jego teorię o bogu, jako pierwszej i rozumnej przyczynie świata, natomiast inny filozof ze szkoły Arystotelesa, Straton z Lampsaku, twierdził, że nie ma boga poza przyrodą, stanął więc na stanowisku panteistycznym.

Podobnie szkoła filozoficzna stoików, założona około r. 300 przez Zenona z Kittion w Atenach i trwająca około pięciu stuleci, pojmowała świat jako jedną wielką całość, jako ogromne organiczne ciało, jako organizm jednolity, rozumny i celowy. Świat, według stoików, jest nieograniczony, wieczny i nieskończony, jest boskiej natury. Bóstwo istnieje nie poza wszechświatem, lecz w nim, jest z nim identyczne. Jest to najbardziej konsekwentny p a n t e i z m, tzn. pojmowanie boga jako wszechobecności i jedności z naturą.

W okresie następnym filozofii greckiej, począwszy od II wieku przed Chr., ośrodkiem kultury i nauki nie są już Ateny, lecz Aleksandria. Spotykają się tam ludzie różnych ras i kultur, oddziałują wzajemnie na siebie myśl grecka i wschodnia. Filozofia dąży do zespolenia narodowo i rasowo odrębnych systemów: uwydatniają się zwłaszcza wpływy żydowskie. Spośród filozofów szkoły grecko-żydowskiej wymienimy trzy najważniejsze nazwiska: Arystobulos, Aristeos i Filon z Aleksandrii. Byli oni oczywiście monoteistami; lecz doktryna ich powstała pod wybitnym wpływem religii żydowskiej, nie może więc być uważana za wytwór czysto greckiego ducha, o co przede wszystkim chodziło w niniejszym bardzo pobieżnym przeglądzie najważniejszych systemów monoteistycznych. Wprawdzie i w naukach dawniejszych filozofów dopatrywano się wpływów wschodnich, zwłaszcza egipskich,[5]) jednak są to problemy sporne i jeszcze nie rozstrzygnięte ostatecznie.

Reasumując, stwierdzić musimy, że to, co było w religii żydowskiej chlebem powszednim — wiara w jedynego Boga — w Grecji spotykamy jedynie na szczytach myśli, u najwznioślejszych myślicieli. Z drugiej jednak strony nie należy sądzić, że koncepcje tych największych filozofów były dostępne jedynie maleńkiej garstce wybrańców.

Filozofia była w Grecji znacznie popularniejsza, niż w czasach późniejszych. filozofowie nauczali na placach, w ogrodach i w innych miejscach publicznych, mieli wielu uczniów i zwolenników, którzy dalej rozpowszechniali ich nauki; pisali poematy filozoficzno-teologiczne, ich doktryny religijne były znane szerszemu ogółowi i przygotowywały umysły do przezwyciężenia wyobrażeń religii ludowej i do przyjęcia nowej wzniosłej wiary w jedynego Boga — która bardziej odpowiada psychice greckiej, niż religia żydowska — wiary chrześcijańskiej.

Ale i chrześcijaństwo, zdobywając świat dla swych idei, wchłaniało po części idee filozofii greckiej, przystosowując je do swych potrzeb, o ile zgodne były z jądrem nauki i pierwotną wiarą, odrzucając je, jeśli tak nie było. Z platonizmu — mówi Władysław Tatarkiewicz — nadawał się dla chrześcijaństwa do przyjęcia idealistyczny pogląd na świat i przekonanie o wyższości świata duchowego nad materialnym; z arystoteizmu — koncepcja Boga jako pierwszej przyczyny i celu świata; ze stoicyzmu — pomysł, że świat materialny jest przesycony duchem; z filozofii cyników — obojętność dla rzeczy doczesnych. Są więc podobieństwa między filozofią wczesnych chrześcijan a współczesną im filozofią pogańską, ale są w tej nowotworzącej się filozofii chrześcijańskiej rysy własne, odrębne, nie dające się sprowadzić do tego, co było dotychczas w filozofii, a mianowicie: Bóg na ziemi i w sercach, miłość i łaska jako podstawa życia, osobiste pojmowanie Boga i stosunku do Boga.[6])

---

[4]) Armstrong, o.c., str. 88.

[5]) Jacques Pirenne: Religion égyptienne et philosophie grecque, Journal of the Juristic Papyrology, IV, 1950, str. 63—76, Warsaw, mówi zwłaszcza o wpływie religii egipskiej na Heraklita.

[6]) Por. Tatarkiewicz, o.c.

Wieczór ku czci STEFANA ŻEROMSKIEGO

w zborze ewangelicko-reformowanym w Warszawie

14 października ub.r. minęło 100 lat od dnia urodzin Stefana Żeromskiego, a 20 listopada — 39 lat od jego śmierci. Pisarzowi, który przez wiele lat był sumieniem narodu polskiego, złożono w hołdzie wiele pięknych słów, napisano wiele książek i wspomnień, postawiono pomniki, z których jednak najtrwalszy wystawił sobie on sam poprzez swoje SŁOWO.

Z taką też myślą młodzież zboru warszawskiego przygotowała 22 listopada 1964 r. wieczór poświęcony pamięci Pisarza, wieczór, podczas którego przemówić miał on sam.

Na ścianie stylowej salki w pałacyku Zuga jedyna dekoracja — dwie gałęzie jodły i daty: 1864 — 1964. Poniżej, na stolikach, książki Żeromskiego. Książki kolejno otwierane, których słowa wprowadzały słuchaczy w jedyny i nieporównywalny krajobraz nadwiślański, by za chwilę przenieść w krainę wizji „szklanych domów" lub zadumać nad losem „sosny rozdartej". Słuchacze uczestniczyli w lekcji języka polskiego w szkole w Klerykowie (czasy zaboru rosyjskiego), towarzyszyli w marszu rannemu powstańcowi z 1863 r., którego tułka wierna rzeka, i byli świadkami spotkania Napoleona z jednym z najwierniejszych jego żołnierzy... Z kart książek patrzyły oczy Cedry, Judyma, Zygiera. A w ciszy, jaka panowała, usłyszeć można było „płacz cichy, jedyny, płacz przed obliczem Boga".

To mówił Żeromski. Mówił do wszystkich. Tych starszych i tych zupełnie młodych. Siła i piękno, harmonia i moc jego słów przykuły uwagę słuchaczy, wywoływały refleksje, kazały wrócić wspomnieniom. Żeromski urealnił się jako „poeta serca", społecznik i patriota.

...Monika Żeromska i red. Karolina Beylin mówiły o Żeromskim — człowieku, ojcu i przyjacielu...

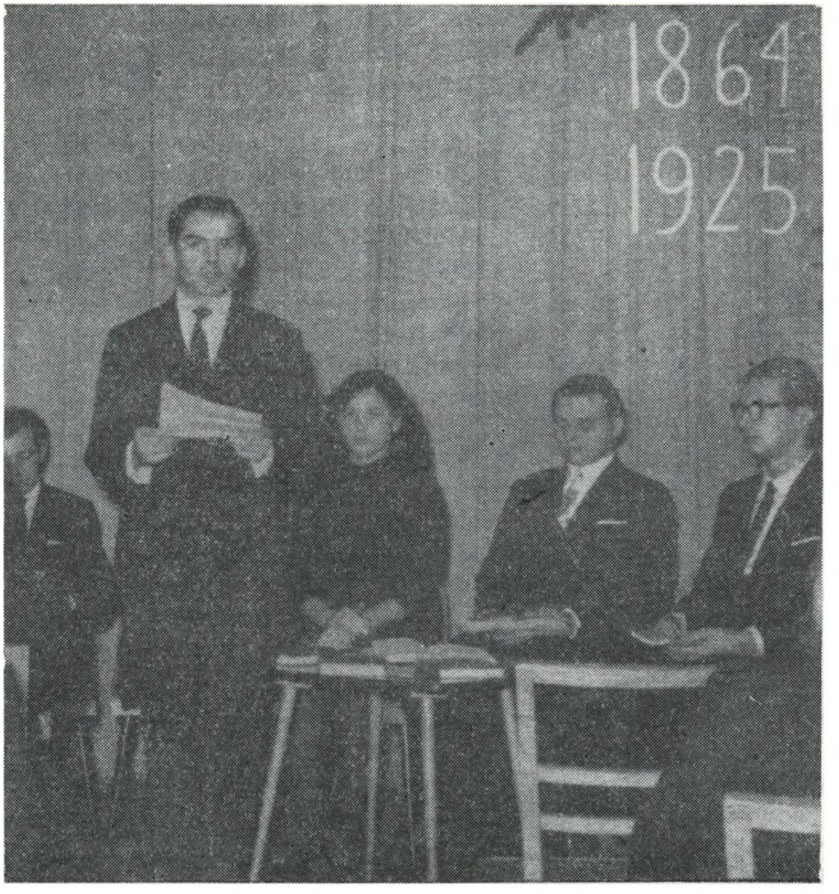

Fragmenty z książek Żeromskiego: „Wiatr od morza", „Syzyfowe prace", „Ludzie bezdomni", „Wierna rzeka", „Przedwiośnie", „Popioły" czytali: Barbara Marcinkowska, Dorota Kucińska, Barbara Stahlowa, Leopold Bremer, Andrzej Skierski i Roman Zieleniewski. Słowo wiążące, opracowane przez red. Jana Skierskiego, podał Tadeusz Żórawski. Nad całością programu czuwała p. Celina Borowa.

Słowo wstępne podał Tadeusz Żórawski.

...harmonia i moc słów Żeromskiego przykuły uwagę słuchaczy...

Z wielką serdecznością ks. superintendent Jan Niewieczerzał powitał przybyłe na ten wieczór panie: Monikę Żeromską, córkę pisarza, i red. Karolinę Beylin, które w drugiej części wieczoru opowiadały o Stefanie Żeromskim już nie jako o Wielkim i Czczonym Pisarzu, lecz o Żeromskim — człowieku, ojcu i przyjacielu. Słuchacze poznali wiele szczegółów z życia Stefana Żeromskiego, dowiedzieli się o jego sposobie bycia, mówienia, o specjalnym i charakterystycznym dla niego poczuciu humoru. Anegdotki, a także wesołe zdarzenia z życia pisarza, przybliżyły jego postać znacznie plastyczniej i wyraziściej, niż tomy przeczytanych o nim książek.

Wielką to oczywiście zasługa Miłych Gości. Obie Panie, obdarzone rzadką dzisiaj, umiejętnością bezpośredniego nawiązywania kontaktu ze słuchaczami, w lekkiej i dowcipnej gawędzie, z wdziękiem opowiadziały o Żeromskim, jakiego — jakby napisał „Przekrój" — kochamy i czytamy. Jeszcze raz tą drogą p. Monice Żeromskiej i red. Karolinie Beylin serdecznie dziękujemy.

B. S.

Z „Myśli lekarza"

WŁADYSŁAWA SZENAJCHA

Życie człowieka utrzymywać, pobudzać, wzmacniać, chronić od wszelkich szkodliwości, podnosić na wyższy poziom kulturalny oraz nadawać życiu największą osiągalną w danych warunkach wartość — oto najistotniejszy i najogólniejszy obowiązek człowieka zarówno względem samego siebie, jak i w stosunku do innych ludzi. Obowiązek ten wynika z elementarnego, nie wyrozumowanego, faktu: jestem życiem, jestem człowiekiem, który ceniąc i czcząc własne życie, chce żyć pełnią życia wśród ludzi, którzy również chcą żyć, którzy tak jak i ja pragną szczęścia, znają strach, ból i cierpienie, czują lęk przed unicestwieniem.

Społeczna wartość człowieka jest jednym z ważnych motywów, dla których państwo powinno otoczyć człowieka swoją opieką, ale głównym i zasadniczym motywem naszej służby życiu i zdrowiu człowieka jest „cześć dla życia" (Albert Schweitzer), poszanowanie człowieka, oddanie się wszelkiemu życiu naokoło nas jak własnemu życiu, oddanie się życiu każdego człowieka, któremu mamy sposobność i możność służyć.

Do czego może doprowadzić brak wszelkiego szacunku dla obcego życia, pogarda dla życia człowieka innej narodowości lub rasy, o tym my, Polacy, mogliśmy się dobitnie i, niestety, zbyt boleśnie przekonać podczas okupacji hitlerowskiej. Wystarczający chyba i dość odstraszający to przykład. Więc czcząc i ceniąc życie służmy życiu, gdyż każdy ma prawo do życia.

A zatem w życiu zbiorowym powinno stale ujawniać się zrozumienie potrzeb człowieka i dążenie do zadośćuczynienia tym potrzebom. Wszystko to, co mogłoby szkodzić życiu i zdrowiu człowieka, zmniejszając jego sprawność fizyczną i psychiczną, obniżając wydajność jego pracy, powinno być ze wszystkich dziedzin usuwane i zwalczane. Wszak dźwignią życia zbiorowego, podstawą rozwoju społeczeństwa jest twórcza praca jego obywateli, tworzenie nowych wartości, nowych dóbr materialnych i kulturalnych.

Praca była kiedyś hańbą niewolnika, dziś jest „prawem, obowiązkiem i sprawą honoru każdego obywatela". Już dawno, przed dziewiętnastoma wiekami powiedziano: „Jeśli kto nie chce pracować, niechże też nie je" (Paweł z Tarsu). Ale praca nie jest tylko materialną koniecznością człowieka, lecz nadto jego duchową, naturalną potrzebą wewnętrzną. Człowiek pracuje, gdyż pragnie coś znaczyć jako współtwórca życia zbiorowego i przez pracę uszlachetnić i podnieść własne życie; taka praca przestaje być tylko środkiem, ale staje się celem samym dla siebie. Nie niewola pracy, lecz praca wolna jest sprawą honoru człowieka, tytułem do godności obywatela.

* *
*

Wiedza lekarska rozwija się i rośnie, możliwości medycyny naukowej stale się zwiększają i zgodnie z tym znaczenie zawodu lekarskiego, szacunek dla pracy lekarza powinny również wzrastać. Niestety, tak nie jest i zaufanie do medycyny naukowej i dyplomowanych lekarzy jest nierzadko tak obniżone, że toruje drogę wszelkiemu znachorstwu i szarlanterii. Wyżej już była mowa o kilku czynnikach zewnętrznych, gospodarczej i kulturalnej natury, warunkujących te ujemne zjawiska, lecz głównej ich przyczyny należy szukać w nas samych.

Sprzeniewierzyliśmy się istocie naszego powołania, naszej służby. Istotą zawodu lekarskiego jest bowiem dobro-

Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL i Kolegium Kościelne Zboru w Warszawie z żalem zawiadamiają, że w dniu 10 listopada 1964 r. po długich i ciężkich cierpieniach zmarł

ś.p.

STEFAN BAUM

b. długoletni prezes Konsystorza Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL, b. prezes Kolegium Kościelnego Zboru Ewangelicko-Reformowanego w Warszawie.

Pogrzeb odbył się na cmentarzu ewang. reformowanym w dniu 13 listopada 1964 r. z udziałem ks.ks. sup. Jana Niewieczerzała, sen. Ryszarda Trenklera, Bogdana Trandy i Władysława Paschalisa.

BŁOGOSŁAWIENI CZYSTEGO SERCA ALBOWIEM ONI BOGA OGLĄDAJĄ.
Mat. 5,8

STEFAN BAUM

DŁUGOLETNI PREZES I RADCA ŚWIECKI KONSYSTORZA KOŚCIOŁA EWANGELICKO-REFORMOWANEGO

NIE ŻYJE

Tak bardzo niedawno, bo 17 maja 1964 r., podczas wizyty w gościnnym domu przy ul. Lubelskiej, przy miłej towarzyskiej rozmowie, Pan Stefan — bo tak Go nazywaliśmy pomiędzy sobą, nie z braku szacunku dla Jego stanowisk i urzędów, lecz z serca szczerego i wielkiej sympatii — nagle spoważniał, wziął do ręki majowy numer „Jednoty", z której patrzyła twarz Jego niedawno zmarłego brata, i zwracając się do mnie, powiedział:

„— Gdy umrę, a wy uznacie, że zasłużyłem sobie na zajęcie kilku szpalt w Jednocie, to chciałbym, abyś napisała o mnie wspomnienie. Ale napisz o mnie tak prosto, jak o moim bracie".

Rozmowa ta stanęła mi przed oczyma w dniu 10 listopada 1964 r. kiedy z bólem przyjęłam wiadomość o śmierci naszego Prezesa, Przyjaciela i Brata.

Nie myślałam i nie chciałam, Drogi Panie Stefanie, tak szybko i z takiej okazji pisać o Tobie! Bo i cóż można napisać o człowieku takim jak On, jakich użyć słów, aby nie były banałem, aby nie brzmiały jak frazes? Szanowaliśmy, kochaliśmy i cenilśmy każde słowo, każdą radę człowieka, który „chodził ustawicznie w szczerości serca... nie położył przed oczy złej rzeczy, a każdą sprawę występników miał w nienawiści". I ta szczerość serca i wielka prawość zjednywały Mu ludzi, zdobywały ich zaufanie. Świadczyć o tym może choćby fakt powierzania Mu najwyższych godności i odpowiedzialnych stanowisk w Kościele.

Młodzieńcze usposobienie, specyficzne poczucie humoru, skromność, sprawiedliwość i wrażliwość zjednały Mu i młodzież zboru warszawskiego, dla której w swym sercu zarezerwował specjalne miejsce, młodzież, która mówiła o Nim — Nasz Prezes. Był dla tej młodzieży przykładem — wzorem, który trzeba naśladować i który pragnie się naśladować — wzorem miłości do Boga i ludzi, wzorem przywiązania do Kościoła. Obyśmy potrafili iść taką drogą, jaką szedł ś.p. Stefan Baum — Nasz Prezes.

B. S.

wolne objęcie służby dla wyższych celów, dla uzdrowienia człowieka bez powiązania i rozstrzygającego uzależnienia tej służby od wysokości zapłaty, bez dążności do dopasowania czynności do wynagrodzenia i wynagrodzenia do czynności.

W skarbcu medycyny nie ma ani droższego, ani tańszego, ani w lepszym, ani w gorszym gatunku leczenia zapalenia płuc lub szkarlatyny — jest tylko jedno dla wszystkich leczenie chorego człowieka, aby w jak najkrótszym czasie, o ile tylko wiedza na to pozwala, powrócił do zdrowia, do pracy.

Najgłębszy sens należycie urządzonych i zaopatrzonych szpitali i innych instytucji zapobiegawczo-leczniczych jako ośrodków zorganizowanej pracy ludzkiej leży w tym, że dają one możność człowiekowi zdrowemu (lekarzowi, pielęgniarce) służyć i czynić dobrze człowiekowi choremu lub zagrożonemu chorobą, przez swą pracę wcielać w życie głęboką ludzką moralność, ludzką dobroć i tym sposobem przemieniać ośrodki bólu i cierpienia w ogniska, w których etyka „czci dla życia" urzeczywistnia się w czynach.

Świat lekarski musi być przeniknięty świadomością, że lekarze istnieją nie dla siebie samych, lecz znajdują uprawnienie i usprawiedliwienie swego istnienia w służbie człowiekowi, którego mają otoczyć swą troską (curare) i któremu mają służyć (therapeuein) swą pomocą.

* * *

Już Hipokrates ostrzegał, że „lekarz nie powinien zbyt wiele gawędzić z laikami, niech niezbędne tylko rzeczy omawia". Tymczasem lekarze współcześni, zwłaszcza w lecznictwie otwartym, z jednej strony często nie wysłuchują należycie skarg chorego i nie dają w pełni odpowiednich wskazówek dotyczących zachowania się pacjenta, jego żywienia i pielęgnowania (co dzieje się głównie wskutek wielkiej liczby chorych), z drugiej — w wielu przypadkach objaśniają zupełnie niepotrzebnie istotę choroby, działanie zaleco-

nych leków i zabiegów, tłumaczą, dlaczego przepisują ten lub inny środek itp. A dalej już nie tylko w oddzielnych broszurach czy książkach, ale wprost w prasie codziennej lub tygodniowej podawane są wiadomości o nowych, nie wypróbowanych środkach i zabiegach leczniczych lub zapobiegawczych, o nowych metodach diagnostycznych, o rozpoczętych pracach w pewnym zakładzie nad badaniem lub wytwarzaniem jakiegoś nowego środka, o którym jeszcze nie wiadomo, czy w ogóle będzie się nadawał do stosowania w lecznictwie, dalej wyrażane są indywidualne poglądy krytyczne popularyzatora o zarządzeniach władz sanitarnych, o szkodliwości stosowanych powszechnie i zalecanych środków itp., przy czym artykuły te niejednokrotnie nie zawierają ścisłej prawdy, lecz często są przesadzone albo w jednym, albo w drugim kierunku.

* * *

Dla wzmocnienia etyki i nastawienia społecznego słowa nauki nie wystarczają. Czasami słowa nie wystarczają również i z tego względu, że — jak głosi starożytna maksyma — „si duo dicunt idem, non est idem". Ta sama treść wypowiedziana przez dwóch ludzi nie jest tą samą treścią: jedna ma możność oddziaływania, druga przebrzmi bez echa. Słowa mają wagę i znaczenie nie same przez się, lecz w oparciu o człowieka, którego wartość moralna i kulturalna określa dopiero wagę i wartość słów. Zwłaszcza dzisiejsza młodzież nie ulega wpływom słów nie mających pokrycia w czynach. Młodzież nie znosi „pięknoduchów", a mówiąc językiem Reja „krasnomędrków", którzy nie żyją zgodnie z głoszonymi wzniosłymi zasadami.

Zatem w wychowaniu etycznym potrzeba przede wszystkim przykładu i czynu „Verba docent, exempla trahunt" — słowa nauczają, przykłady pociągają. Klinika czy zakład, cały ustrój nauczania, cała atmosfera kulturalno-etyczna instytucji, jej działalność mająca na celu wyłącznie dobro nauki i dobro człowieka, a przede wszystkim styl pracy, postawa kierownika i jego współpracowników — powinny być przykładem wcielania etyki w życie. „W zespole, który mi przypadło w udziale prowadzić — pisze I. P. Pawłow — atmosfera tworzy wszystko. Wszyscy jesteśmy wprzęgnięci do jednej wspólnej sprawy i każdy ją posuwa naprzód w miarę swych sił i możliwości. Często nie możemy rozróżnić co jest „moje", a co „twoje", ale na tym nasza wspólna sprawa tylko zyskuje".

Najważniejszymi warunkami owocnej pracy są: systematyczność i wytrwałość w działaniu, punktualność i obowiązkowość. Drogą przykładu — w razie potrzeby przymusu — wyrabiajmy te zalety w młodym pokoleniu lekarskim. Działalność kliniki stanie się przykładem dla studentów, jeśli profesor i jego współpracownicy będą skupieni około jednej idei — idei prawdy naukowej i szlachetnej służby społecznej, jeśli studenci będą otrzymywać od swych przewodników nie tylko oparte na podstawach naukowych wskazania dotyczące badania, rozpoznawania i leczenia chorych, lecz również wskazania z zakresu obchodzenia się z chorymi, podniesienia samopoczucia chorych, jeśli codzienna praca kliniki będzie przykładem humanitarnego postępowania z chorymi.

„Wartości moralne wybitnych ludzi, być może, mają większe znaczenie dla pokoleń i dla biegu historii niż doko-

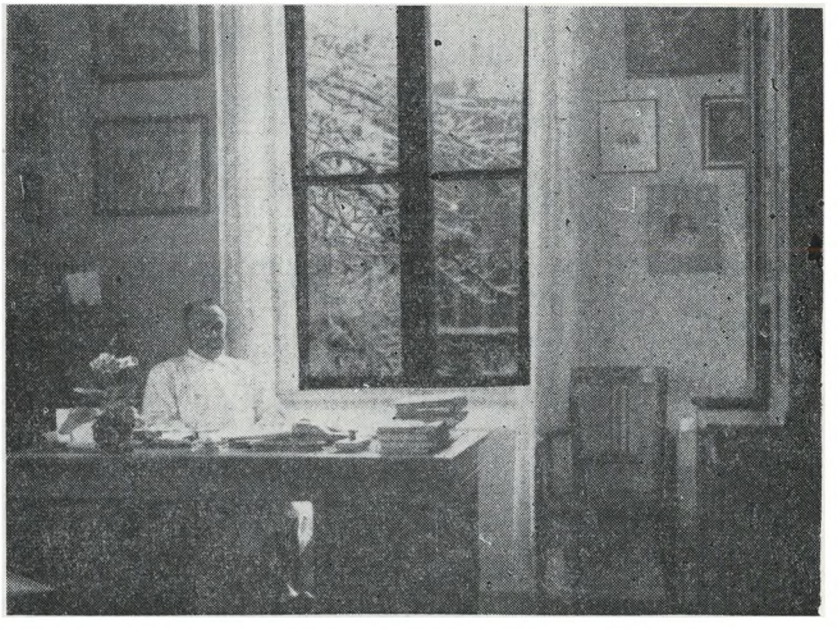

nania czysto intelektualne" — powiedział na schyłku swego twórczego, szlachetnego życia wielki uczony Albert Einstein. Prawda zawarta w powyższych słowach ujawnia się jasno i bezpośrednio w stosunkach między młodzieżą a jej przewodnikami. Młodzież nie zawsze jest zdolna prawidłowo ocenić dokonania intelektualne, naukowe swych przewodników, lecz jest bardzo wrażliwa na ich wartości moralne i chętnie ulega wpływom tych, którzy przez swą pracę wcielają w życie głęboką etykę. Natomiast „człowiek uczony bez obyczajów jest zniewagą nauki i najniebezpieczniejszą zarazą towarzystwa; jest to chodząca sprzeczka myśli z uczynkami" (J. Śniadecki).

Zatem nie każda nawet rzeczywista znakomitość naukowa, nie każda „capacitas" kwalifikuje się na mistrza, na wzór dla lekarza, lecz tylko ten uczony, który jest jednocześnie pełną osobistością lekarską, i który może i umie wytworzyć w swej klinice lub na oddziale odpowiednią atmosferę naukową i etyczną i tym sposobem kształcić i wychowywać studentów i asystentów na wyszkolonych, dobrych lekarzy i uspołecznionych, dobrych obywateli Polski Ludowej. Stąd tak ważną jest rzeczą należyte obsadzenie katedr, zwłaszcza klinicznych, osobami, które mogą wywierać dodatni wpływ na studiującą młodzież.

Mieć posłuch u młodzieży akademickiej może ten profesor, który zdobędzie zaufanie, szczery szacunek i przywiązanie swych uczniów.

Profesor powinien być żywym przykładem wytrwałej, sumiennej pracy opartej na gruntownej wiedzy, być przykładem uczciwości i rzetelności w badaniach naukowych, w pracach piśmienniczych, mieć nastawienie naukowe i żywą wiarę w wartość nauki i w jej postęp, umieć przelewać w uczniów swą miłość wiedzy, krzewić zamiłowanie do prawdy i uczyć ją wielbić.

CZYTELNIKU! Nie zapomnij odnowić prenumeraty miesięcznika „JEDNOTA" na rok 1965

KOMUNIKATY LOKALNE

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

Parafia Ewangelicko-Reformowana w Warszawie

1.I.1965. Nowy Rok
Nabożeństwo z Wieczerzą Pańską o godz. 11
— ks. Jan Niewieczerzał

3.I.1965. Niedziela po Nowym Roku
Nabożeństwo o godz. 11.00
— ks. Bogdan Tranda

6.I.1965. Środa, Święto Epifanii
Nabożeństwo w kaplicy o godz. 18,00
— ks. Bogdan Tranda

10.I.1965. I Niedziela po Epifanii
Nabożeństwo o godz. 11.00
— ks. Jan Niewieczerzał

17.I.1965. II Niedziela po Epifanii
Nabożeństwo o godz. 11.00
— ks. Jan Niewieczerzał

24.I.1965. III Niedziela po Epifanii
Nabożeństwo o godz. 11.00
— ks. Bogdan Tranda

31.I.1965. IV Niedziela po Epifanii
Nabożeństwo o godz. 11.00
— ks. Bogdan Tranda

Począwszy od dnia 12.I.1965 r. w sali parafialnej przy ul. Świerczewskiego 76a w każdy wtorek o godz. 18 odbywać się będą wykłady pt. „Słownik biblijny".

Parafia Ewangelicko-Augsb. Św. Trójcy Plac Małachowskiego 1

3.I.1965. Niedziela po Nowym Roku
godz. 10,15 — spowiedź
godz. 10,30 — naboż. z Kom. św.
ks. Wł. Nast

6.I.1965. Święto Epifanii
godz. 18,00 — nabożeństwo —
ks. Wł. Trenkler

10.I.1965. I Niedz. po Epifanii
godz. 10,15 — spowiedź
godz. 10,30 — naboż. z Kom. św.
ks. Wł. Trenkler

17.I.1965. II Niedz. po Epifanii
godz. 10,15 — spowiedź
godz. 10,30 — naboż. z Kom. św.
ks. Wł. Nast

24.I.1965. III Niedz. po Epifanii
godz. 10,15 — spowiedź
godz. 10,30 — naboż. z Kom. św.
ks. Wł. Trenkler

31.I.1965. IV Niedz. po Epifanii
godz. 10,15 — spowiedź
godz. 10,30 — nabożeństwo z okazji Zgromadzenia diecezjalnego —
ks. Sen. W. Gastpary, ks. Trenkler
kazanie **ks. A. Gloc**

UWAGI REDAKCJI. Poglądy autorów podpisujących się pod artykułami nie zawsze pokrywają się ze stanowiskiem Redakcji. Wszystkich współpracowników uprasza się o nadsyłanie artykułów w dwu egzemplarzach z interlinią i marginesem, dokładnie poprawionych. Maszynopisów niezamówionych artykułów, publikowanych jak i niepublikowanych Redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL **REDAKCJA I ADMINISTRACJA:** Warszawa, ul. Świerczewskiego 76a. tel. 31-23-83. **REDAGUJE KOLEGIUM:** Redaktor Naczelny — Ks. Jan Niewieczerzał. Z-cy Red. Nacz. Ks. Ryszard Trenkler, Ks. Bogdan Tranda. **PRENUMERATA:** rocznie 48 zł, półrocznie 24 zł, kwartalnie 12 zł, numer pojedynczy 4 zł. **Konto PKO** Warszawa — 153-7-905-005. Do nabycia również we wszystkich placówkach Kościoła.

Zakł. Graf. RSW „Prasa", W-wa, Smolna 12. Nakł. 2000. Obj. 2 ark. druk. Zam. 2046. Z-42.